

*Wesela*

STEFAN  
OTWINOWSKI

# Notes KRAKOWSKI

**P**rawdą nie podlegającą chyba dyskusji byłoby to, że scena Teatru im. Słowackiego ma najtrwalszą i najpiękniejszą w kraju tradycję. Czy można się zatem dziwić, że 75-lecie myśrów, że jubileuszowy obchód wzruszał, i to ludzi młodszych także... młodszych, myślę, ode mnie. I ludzi mniej związanych z Krakowem — ode mnie. W czasie wcale nie nudnej akademii przypomniano wiele spraw i wiele tekstów. Odczytano na przykład mowę pierwszego dyrektora, Tadeusza Pawlikowskiego: „...wlemy, że w naszych rękach spoczywa część siły i honoru naszego społeczeństwa”. O, to pewnie, scena ta dobrze się przysłużyła społeczeństwu i kulturze nie tylko miasta. Adam Asnyk napisał na otwarcie teatru specjalny wiersz; przypominała go nam Alicja Matusiakówna. Czy można bez wzruszenia słuchać strof Wyspiańskiego: „Teatr mój widzę ogromny”, gdy padają ze sceny, o której myślał Poeta pisząc i widząc swoje „Wyzwolenie”?

Wieczorem dano premierę „Wesela” w reżyserii Lidii Zamkow. Napiszą o przedstawieniu krytycy zapowiodowi i na pewno niejedyn z nich nazwie spektakl kontrowersyjnym. Wspominałem już, że krytycy ogromnie lubią ten przymiotnik. Proszę bardzo, niech sobie nazywają rzeczy, jak im się podoba. Dla mnie Wyspiański istnieje tu tak właśnie, jak go rozumiem, a rozumieniem coraz lepiej, że nie pisał nigdy niczego dla pokrzepienia serc. Nie zgadzałem się z Stenkiewiczem — o, już Zeromski z pewnością był mu bliższy! Zwłaszcza wtedy, gdy mówił, że t r z e b a r o z r y w a ć r a n y. Tak, nic z sienkiewiczowskiej ł a s k a w o ś c i nie zauważyłem ani w tej oto — której z kolei! — krakowskiej premierze „Wesela”, ani też w całej twórczości Wyspiańskiego. A przestudiowałem ją ostatnio gruntownie.

Ale widzę, że moich korespondentów interesuje bardzo, „jak grają aktorzy, ci nowi krakowscy, z któ-

rych p. Greń tak często bywa niezadowolony”. Przyznaję, że z p. Greniem nie jest łatwo, choć ogromnie to cywilizowany człowiek. Mnie aktorzy w „Weselu” — ci młodzi krakowscy — podobali się. Oczywiście, gdybym pisał recenzję wyróżniłbym wielu, innych może i zganili. Ale w felietonie wymienię tylko Arkadiusza Bazaka w świetnej roli Dziennikarza, i jako Poetę Leszka Herdegena — no, jemu łatwiej, bo sam jest poetą — i Teresę Budzisz-Krzyżanowską, która grała Rachele. Widziałem w ciągu czterdziestu pięciu lat — tak długo chodzę do teatru — wszystkie niemal najlepsze wykonania tej roli, ale Rachel w przedstawieniu Lidii Zamkowej wydaje mi się najbardziej interesująca, najgłębiej przemyślana, w czym naturalnie zasługa również koncepcji reżyserskiej.

Wróćmy jednak do teatru i osobistych rachunków do biurka i redakcyjnej poczty: ile to przywiązania mają nasi ludzie do tej właśnie sztuki i jak ciągle żywa jest geneza i legenda bohaterów dramatu. Pisze do nas dr Władysław Mielnik z Kudowy-Zdroju, informując, że przez kilka pierwszych lat powojennych pracował tam dr Henryk Singer, polk. lek. „Był on wnukiem karczmarza z Bronowic, a jego ciotką, Rachel z „Wesela” Wyspiańskiego, odwiedzała go kilkakrotnie w Kudowie”. Doktor Singer umarł wkrótce po przeniesieniu się z Kudowy do Krakowa. List swój tak kończy nasz korespondent: „W pamięci otoczenia pozostał jako przemiły lekarz o dużej wiedzy, kulturze osobistej i nieminiejszym poczuciu humoru, interesujący się literaturą i żartobliwie podkreślający swoje, choć pośrednie, powiązania rodzinne z twórczością Wyspiańskiego”. Korzystam z okazji żeby podziękować dr Mielnikowi i za wiadomość tę i za dobre słowa pod adresem naszej redakcji.

Nawiążę teraz do starej tradycji „Czasu” — boć felieton mój chce być zarazem kroniką miasta — i po-

wiem, że na jubileuszowym przedstawieniu jedna z wnuczek poety i prawniczka wystąpiły w ludowych krakowskich strojach i doskonale w nich wyglądały. Zrećznie i licznie działający fotografowie uwiecznili moment, kiedy to minister Motyka, pięknie i atletycznie zbudowany, chwytając lekko i unosi w górę niemal baletowo obie panienki. Szkoła, że nasze pismo drukuje się na tak lichym papierze... Dodam, że minister był w czasie premiery w stroju też ładnym, acz konwencjonalnym.

Na koniec kilka słów o książce, której fragmenty można by potraktować jako aneks do krakowskich uroczystości: Mam na myśli biografię Kazimierza Tetmajera, pióra Krystyny Jabłońskiej. Poetę w „Weselu” przywykliśmy łączyć z nazwiskiem autora „Zawiszy Czarnego”. Wyobraźnia lubi takie podpórki i rekonstrukcje. Nic w tym złego, byle zjawisko pozostawić w określonych granicach. Wyspiański, biorąc wzór z rzeczywistości, da pierwszeństwo nawet nie fantazji, lecz ciężkiej pracy umysłowej w l a s n e j.

Był okres, kiedy Tetmajer, świetny liryc, drażnił sentymentalnie i neurotycznie wielki krag młodych kobiet. Wrażliwość tak, jak musiała być w swej młodości wrażliwa pani Singer... Wszystko to trwało bardzo krótko. Książka biograficzna Krystyny Jabłońskiej to przejmujące w swej prawdzie dzieło o losach pisarza dęczonego niemal przez całe życie własną, dramatycznie trudną psychologią. Człowieka skłonnego do ciągłych uraz. Chorobliwie ambitnego, miotającego się wśród zmiennych okoliczności życia i wreszcie pokonanego przez przewlekłe cierpienie psychiczne. Kiedyś takie, cierpienie oficjalna medycyna określała z literackim smutkiem: melancholia.

Nie, nie uda mi się, tak jak być może innym widzom teatralnym, zobaczyć w Poezie z „Wesela” Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Widywałem go żywo w e g o często na Krakowskim Przedmieściu i tak już go będę pamiętał: starca w ostatecznym smutku. Z tym w dodatku urojeniem, że go „wszyscy” chcą otrudzić. Nie można go było namówić, by w barze na Trębackiej wypił przyniesioną przez kelnera herbatę. Nie — czeka na wrzątek, potem ostrożnie z jednej kieszki wyjmując zawiniątko z cukrem, z drugiej suche listki herbaty. Wsypie je do szklanki i będzie milczał przez godzinę, przez lata, aż do śmierci.

STEFAN OTWINOWSKI